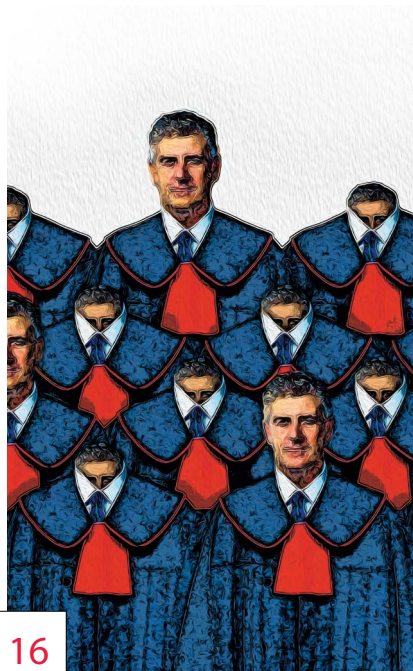




16

Gliniana armia Ziobry



23

Mózg Wiosny



26

Żałoba po żałobie

Tematy tygodnia

- 12 Anna Dąbrowska
Finanse Prezesa
16 Violetta Krasnowska
Prokuratorzy niepokorni

Polityka

- 20 Wojciech Szacki
Sondaże: co daje i odbiera poparcie
23 Rozmowa z socjologiem dr. hab. **Maciejem Gdulą**, współzałożycielem i autorem nazwy partii Wiosna

Społeczeństwo

- 26 Martyna Bunda
Mechanizmy żałoby narodowej
30 Juliusz Ćwieluch
Siedem lat po Amber Gold
33 Marta Mazuś
Michał Kołodziejczak – nowy wiejski trybun

Rynek

- 36 Cezary Kowanda
Biznes antysmogowy
39 Joanna Solska
Polityczny skup jabłek

Świat

- 44 Ziemowit Szczerek **ZAKARPACIE**
Gdy wszyscy naraz wstają z kolan...
47 Agnieszka Lichnerowicz
Feministyczna polityka zagraniczna
50 Adam Szostkiewicz **WATYKAN**
Szczyt przeciw pedofilii

Historia

- 52 Tomasz Targański
Jak Chomeini wrócił do Iranu
55 Wojciech Markiewicz
Niezwykłe życie cichociemnego Przybylika

Nauka

- 58 Tomasz Witkowski
Co wyszło z powtórki słynnych eksperymentów psychologicznych
61 Paweł Walewski
Dylematy w leczeniu raka

Ludzie i style

- 64 Aleksandra Żelazińska
Nasze twarze to też dane
68 Marcin Piątek
Królowa lodu
Natalia Maliszewska

Kultura

- 74 Urszula Schwarzenberg-Czerny
Oscary już nie takie białe
77 Rozmowa z **Aleksandrem Nowakiem**, kompozytorem i autorem oper, laureatem Paszportu POLITYKI w dziedzinie muzyki poważnej
80 Piotr Sarzyński
Muzea narodowe: osobiwa zmiana warty
83 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego
84 Janusz Wróblewski
Berlinale: kino walczące

Na własne oczy

- 92 Edyta Gietka
fotografie Jakub Ostalowski
Piła: kosmos pod plandeką

Stałe rubryki

- 6 Mleczko i Mizerski
• 7 Ludzie i wydarzenia
• 42 Przegląd informacji rynkowych
• 70 Afisz • 86 Chutnik i Plebanek
• 87 Passent • 88 Hartman
• 89 Tym • 90 Do i od redakcji
• 91 Fusy • 98 Polityka i obyczaje

Sprawdź dlaczego Klienci wybierają nasze wycieczki objazdowe

Iberiada

Wycieczka zdecydowanie warta polecenia. Bardzo różnorodny program pozwalający na zobaczenie różnych twarzy Hiszpanii i Portugalii - tej wielkomejskiej, historycznej, religijnej, kulturowej i wreszcie kulinarnej oraz krajobrazowej. Dobrze zorganizowany wyjazd, ze świetnie przygotowaną pilotką panią Asią oraz kilkoma nieoczywistymi punktami na trasie (np. wybrzeże Atlantyku w Galicji - z Baioną i celtyckim grodziskiem). Wyjazd dla osób lubiących zróżnicowanie, zainteresowanych historią i pięknymi krajobrazami. Na pewno dla miłośników półwyspu Iberyjskiego!

Elżbieta i znajomi, Łódź, 46-55 lat

już od
4599 pln



już od
10799 pln



Japonia – w krainie gejsz i samurajów

Wycieczka bardzo ciekawa, choć trzeba powiedzieć że intensywna. Wielkim plusem był nasz pilot Pan Szymon, który ma dużą wiedzę o Japonii oraz otaczających krajach i potrafi ją interesująco przekazać. Ma on również niepospolity dar zrobienia bardzo dobrej atmosfery w grupie, a sam jest miłą i bezkonfliktową osobą, przy tym bardzo punktualną i fachową. To była jedna z lepiej zorganizowanych wycieczek, na jakich byłem. Wszystko funkcjonowało jak w szwajcarskim (lub japońskim :)) zegarku. Były restauracje o różnych kuchniach, robienie wachlarzy japońskich, ubieranie się w kimono, japońskie łożnie i ciekawe zabytki UNESCO.

Leszek, 56-65 lat | w parze |

Chiny – w krainie złotego smoka

Chiny zaskoczą was z pewnością. Mamy złe wyobrażenie o tym kraju, a ta wycieczka zmienia światopogląd. Podróż opracowana przez Rainbow idealnie. Codziennie nowa dawka informacji o Chinach historycznych i współczesnych. Atrakcje zaczyna Chiński Mur (zdecydowanie warto przejść 4 km!), a wieńczy Szanghaj i powala swoją współczesnością. Ilość wrażeń rośnie z dnia na dzień. Warunki hotelowe dobre - nie ma hotelu do którego można by się przyczepić. Jedzenie? Nawet jeśli nie jesteś smakoszem kuchni azjatyckiej znajdziesz dla siebie coś smacznego i to w dużych ilościach. Bezprzewodowe słuchawki to super rozwiązanie. Nie gubimy się, słuchamy i robimy zdjęcia. Pilot to najważniejsza osoba w czasie takiej wyprawy. Nasza pani Paulina to super pilot - świetnie zorganizowana, ogarniała wszystko i wszystkich (38 osób) z wiedzą, uśmiechem i życzliwością. Dziękujemy Pani Paulino. Cóż jeszcze? Potwierdzamy, że warto. Nie trzeba się wahać, tylko jechać.

Grażyna i Andrzej, 56-65 lat | w parze |

już od
5599 pln



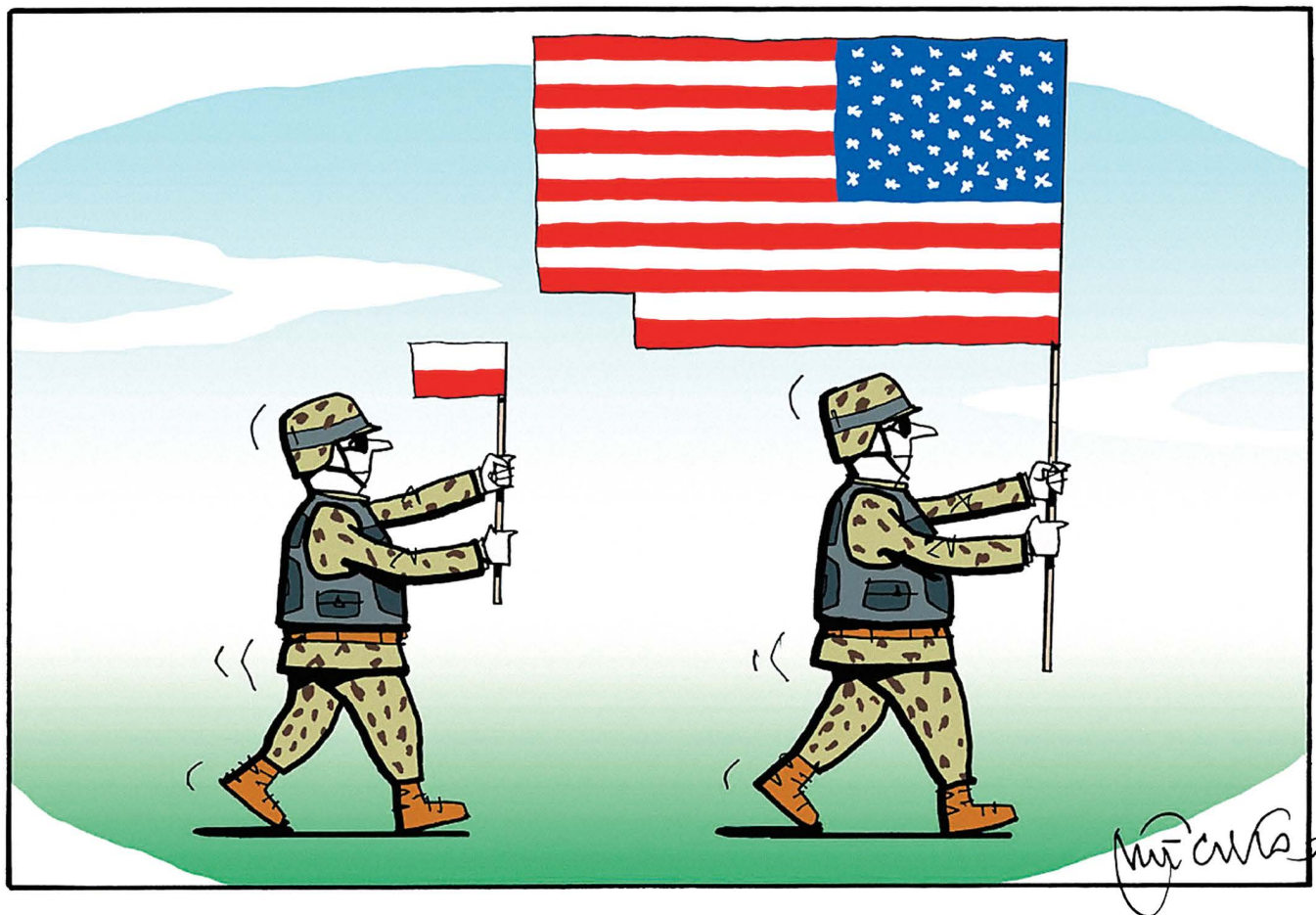
A gdzie wybierzesz się Ty?

INFOLINIA: (42) 680 38 51

R.pl

Kupując dowolną wycieczkę w lutym roczną prenumeratę magazynu PODRÓŻE otrzymasz GRATIS!

Kup książkę



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Wiosna wesołych obietnic

Cieszę się, że w osobie Roberta Biedronia niektórzy Polacy otrzymali polityka, na którego obietnice od dawna czekali. Lider Wiosny pokazał, że ludzie tacy jak on mają w polityce bardzo dużo do obiecania. Uderza przy tym skromność Biedronia, który szacuje, że wszystkie jego obietnice są warte zaledwie 35 mld zł, podczas gdy nawet środowiska mu niechętnie podkreślają, że w grę może wchodzić 200 mld – kwota, o obiecaniu której PiS może tylko pomarzyć.

Kiedy się Roberta Biedronia słucha, ma się zresztą wrażenie, że nie obiecał nam jeszcze wszystkiego i niewykluczone, że wkrótce obieca więcej. Mówi się, że Biedroń jest w swoich obietnicach trochę podobny do Jarosława Kaczyńskiego, z tym że moim zdaniem, np. jeśli idzie o obietnicę rozliczenia rządzących, idzie znacznie dalej niż prezes Kaczyński, bo obiecuje, że rozliczy również jego. Kaczyński jest w tej sprawie o wiele bardziej powściągliwy i niczego takiego na razie nie obiecuje.

Do obietnic Biedronia mam większe zaufanie niż do obietnic polityków obozu rządzącego przede wszystkim dlatego, że ogłasza je radośnie, z szerokim uśmiechem na ustach. Tego uśmiechu i entuzjazmu brakuje, niestety, politykom PiS, którzy nawet jeśli to czy tamto obiecują, sprawiają wrażenie

posępnych i najeżonych, a z ich zaciętych min trudno się zorientować, czy na pewno dadzą to, co obiecali. W dodatku nawet gdy dadzą, wcale nie wyglądają weselej. Wicepremier Gliński, mimo że od trzech lat daje kulturze narodowej o wiele więcej, niż od niego oczekujemy, chodzi spięty i naburmuszony, a jak go o coś zapytać, zaraz oburzony wychodzi ze studia.

Powiem jasno: ciemny, surowy populizm obozu rządzącego robi ponure wrażenie, podczas gdy radosny populizm Roberta Biedronia posiada wdzięk i atrakcyjną twarz, na której maluje się autentyczne zadowolenie z siebie. Biedroniowi wierzę, bo po prostu jest megafajny i wygląda super w telewizji. Gdy ktoś taki mi coś obieca, mam pewność, że jak się nie wywiąże, to dlatego, że po prostu coś mu przeszkodziło, a nie dlatego, że oszukał albo mu się nie chciało.

Nie wiem, co jeszcze Biedroń obieca Polakom. Wiem natomiast, że aspiracje Polaków rosną, dlatego słusznie uważają, że jeśli już mają coś dostać, to zasłużyli sobie na to, aby obietnice w tej sprawie składały im osoby wesołe, a nie obrażony smutas Gliński i jemu podobni, po których, niestety, nie można sobie zbyt wiele obiecywać.



Dwie legendy



Jerzy Baczyński

Będziemy mieli w tym roku mnóstwo okazji do porachunków z przeszłością. Obchodząc kolejne 30. rocznice, przejdziemy symbolicznie cały rok 1989: od Okrągłego Stołu, przez wybory 4 czerwca, powołanie rządu Tadeusza Mazowieckiego, aż po plan Balcerowicza. Już się zresztą te rocznice zaczęły, i to dokładnie tak, jak można było przewidywać: skromne państwowe obchody upamiętniające początek obrad Okrągłego Stołu zostały podsumowane przez doradcę prezydenta prof. Andrzeja Zybortowicza cytatem z Andrzeja Gwiazdy, że właśnie wtedy „ubecy podzielili się władzą ze swoimi agentami”. Podobny będzie zapewne ton następnych oficjalnych jubileuszy, bo dla obozu władzy specyficzna interpretacja wydarzeń 1989 r. jest ideowym i politycznym fundamentem; stamtąd wywodzone są historyczne i moralne racje obecnych rządów. Więc tu nie może być kompromisów ani światłocieni. W 2019 r. biała legenda „bezkrwawej rewolucji Solidarności” i „dziejowego sukcesu polskiej transformacji” zderzy się z czarną: spisku elit, uwłaszczenia nomenklatury, złodziejskiego kapitalizmu, kraju w ruinie. W październiku, oprócz nowego Sejmu, wybierzemy jedną z tych wersji. Bo nasza historia rozpadła się tak samo jak polityka.

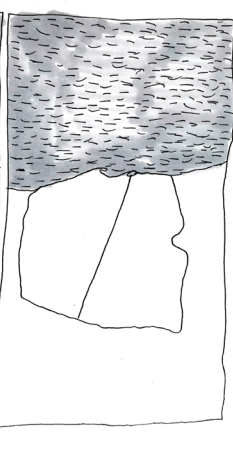
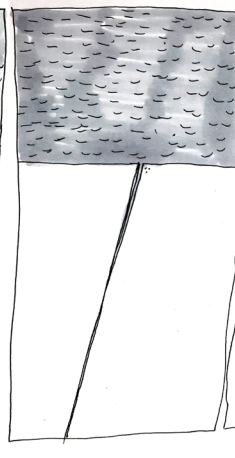
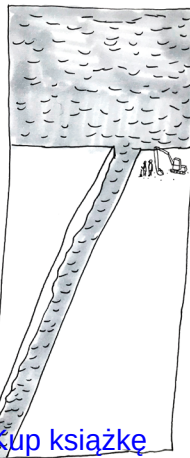
Następna okazja do frontального zderzenia obu narracji szykuje się 4 czerwca. Tym razem opozycja nie zamierza ustępować: planowane, przy udziale samorządów, centralne obchody w Gdańsku będą miały niespotykany dotąd rozmach. Przez 30 lat państwo polskie nie potrafiło nadać tej dacie, nazywanej trochę na wyrost Świętem Wolności, odpowiedniej oprawy ani rangi; teraz ma to zrobić formujący się „ruch społeczny 4 czerwca”. Dla opozycji będzie to jednocześnie faktyczny początek parlamentarnej kampanii wyborczej. PiS i jego maszyny propagandowe spróbują zapewne, po raz kolejny, pamięci „pierwszych częściowo wolnych wyborów” przeciwstawić datę 4 czerwca 1992 r., dzień upadku rządu Jana Olszewskiego. Śmierć Jana Olszewskiego i wielkie państwowe uroczystości pogrzebowe zostały już wykorzystane dla wzmocnienia opowieści o „pierwszym rządzie Niepodległej Polski” i skierowanym przeciw niemu „puczu agentury”. Biografię Jana Olszewskiego, człowieka niezwykle zasłużonego dla polskiej demokratycznej opozycji, postaci nietuzinkowej, pełnej sprzeczności, wielobarwnej, zredukowano do kilku zdań i naciąganych interpretacji. W wielogodzinnych „wspomnieniowych” programach TVP, nie oglądając się na oficjalną żałobę, jawnie już atakowano opozycję jako „przeciwników

niepodległości Polski”. To jeszcze wróci, wybiję przed 4 czerwca 2019 r. A potem kolejna stacja: czyli „gruba kreska Mazowieckiego”. Nie twierdzę, że pielęgnowana przez obecną władzę czarna legenda o grzesznych narodzinach i podłym życiu III RP jest tylko cyniczną, propagandową konstrukcją. Przeciwnie, dla znacznej części tzw. obozu prawicy to sfera silnych przekonań i emocji. Sam Jarosław Kaczyński, uczestnik i współautor historii minionego 30-lecia (w swoim czasie także bardzo krytyczny wobec premiera Olszewskiego), zna prawdziwy przebieg różnych wydarzeń i własnej w nich roli, czemu w różnych wcześniejszych wywiadach dawał wyraz. Ale po serii wyborczych porażek prawicy w latach 90. przejął od Jana Olszewskiego (nigdy przez niego niezrealizowaną) koncepcję masowej partii ludowej, nawiązującą do wciąż żywotnych, choć wytłumionych w PRL, tradycji endeckich. To wymagało stworzenia alternatywy dla dominującej u progu III RP liberalnej, prozachodniej doktryny państwowej. Nie można Kaczyńskiemu odmówić konsekwencji: wizja „ukradzionej Rzeczypospolitej”, omotanej układami, spiskami i agenturą, przez lata traktowana jako oszłomska, długo przebiegała się z marginesu do centrum, aż się przebiła. Teraz to ona oficjalnie triumfuje. Dla opozycji obecny rok rocznic stwarza jednak wyjątkową okazję, aby przywrócić utraconą cześć III RP.

Mimo rozmaitych historycznych zygzaków polskiej transformacji żadna z tez Kaczyńskiego nie znajdowała potwierdzenia w rzeczywistości. Nie idealizując III RP, na tle wszystkich państw pokomunistycznych akurat w Polsce korupcja była najmniej dotkliwa; praktycznie nie wytworzyła się miejscowa oligarchia polityczno-biznesowa; uwłaszczala się i kapitalizowała nie tyle „partyjna nomenklatura”, ile – jak wykazywały badania socjologiczne – raczej klasa inżynierska i ludzie wolnych zawodów; nie wykryto agenturalnych spisków ani spektakularnych szantażów lustracyjnych. Paradoksalnie najwięcej tego typu przypadków i podejrzeń dotyczyło środowiska politycznego Jarosława Kaczyńskiego. A jednak walka z rzekomym „brudem i moralną nicością III RP” wciąż ma rozgrzeszać hipokryzję, interesowność, niekompetencję ludzi władzy, uzasadniać prowadzoną przez PiS politykę „stanu nadzwyczajnego”. To dlatego spór o historię 30-lecia tkwi w centrum polskiej polityki i nie może zostać porzucony.

Jan Olszewski, ogłoszony prekursorem PiS i patronem „dobrej zmiany”, był w ostatnich latach krytyczny wobec działań władzy, zwłaszcza w najbliższym mu obszarze wymiaru sprawiedliwości. Dramatyczne raporty o represjach i szykanach wobec sędziów oraz walczących jeszcze o zawodową niezależność prokuratorów (więcej s. 16) bardzo przypominają czasy młodości mec. Olszewskiego. Równie źle kojarzą się przypadki pokazowych aresztowań, jakie pod naciągany zarzutami dotknęły ostatnio wielu byłych szefów spółek Skarbu Państwa. Wszyscy się domyślają, że prokuratorzy Zbigniewa Ziobry wykonują tu zlecenia „przykrywkowe”, mające na celu odwrócenie uwagi od demonstracyjnej beczynności prokuratury w sprawie „taśm Kaczyńskiego”. Pomawianym i zatrzymywanym przydałby się dziś obrońca polityczny klasy mec. Olszewskiego. Bo system, który PiS stworzył także w jego imieniu, zasługuje na publiczny akt oskarżenia.

Jan Koza



© JAN KOZA

Kup książkę



Wybory małe i duże

Może się wydawać, że stawka wyborów do Parlamentu Europejskiego jest jakby mniejsza. Nic bardziej mylnego.

Na początek teoria: inicjatywę ustawodawczą w UE ma Komisja Europejska. To ona przedstawia Parlamentowi Europejskiemu projekt rozporządzenia lub dyrektywy, nad którym my, europosłowie, procedujemy i którego ostateczną wersję negocjujemy z Radą – czyli z przedstawicielami rządów państw członkowskich.

A teraz praktyka. W ubiegłym tygodniu, podczas sesji plenarnej w Strasburgu, debatowaliśmy nad takim właśnie dokumentem – tym razem dotyczącym walki z nadużyciami finansowymi. I tak: europoseł PiS tłumaczył nam, dlaczego jego grupa – czy też jego partia (słowo honoru, nie łąda wyzwaniem jest zrozumieć, co ten poseł głosi, a mój podziw dla tłumaczy każdorazowo wręcz szybuje) – nie zgłasza za omawianymi propozycjami. Mówił, że jest przeciw prokuraturze europejskiej i nie chce, aby budżet europejski był związany z przestrzeganiem prawa w krajach członkowskich Unii Europejskiej. Słuchałam tego wystąpienia i zastanawiałam się, co też może nas czekać w następnej kadencji PE i co w ogóle może się stać w Unii, jeśli obywatele Wspólnej Europy wpuszczą na salę plenarną więcej polityków głosujących przy każdej okazji przeciwko wzmocnieniu wspólnych ram prawnych, przeciwko wspólnym standardom oraz przeciwko kontroli praworządności w państwach członkowskich.

Eurosceptyków można spotkać w każdym z 28 krajów Wspólnoty. Na szczęście niemal wszędzie są w opozycji. Do niechlubnych wyjątków od niedawna należą Włochy – ale tam, jak na razie, rząd nie zabiera się za niszczenie prawa ani nie podnosi ręki na własną konstytucję – oraz Polska i Węgry, przeciwko którym toczą się już postępowania w sprawie łamania praworządności. O Brytyjczykach nie wspominam, bo tam sytuacja jest tyle zagmatwana, ile dramatyczna.

Eurosceptycy zasiadają też w Parlamencie Europejskim – głośno słysząc ich krzyki z prawej strony sali plenarnej. Ciągłe jednak są jeszcze mniejszością, więc bez problemu przegłosowujemy ich przy ważnych decyzjach. Tylko co by się działo, gdyby było ich więcej? Kto np. nakładałby sankcje na Rosję? Już teraz, przykładowo, Włosi się skarżą, że przez takie działania tracą finansowo, a w sumie przecież to nie ich sprawa – i ich głos nie jest odosobniony. Na razie prowadzimy politykę wspólnotową i większość zdecydowała, że z Rosją, która napadła na Ukrainę, interesów prowadzić nie będziemy. Jednak większość może się zmienić. W planie Europy Ojczyzn – czy Europy Narodów – nie jest przewidziane dzielenie się suwerennością i podejmowanie decyzji przez wspólne instytucje. Co byłoby więc np. z umową stowarzyszeniową z Ukrainą, skoro jest tak ostro krytykowana przez Putina (a partie eurosceptyczne są przez niego mocno wspierane, niektóre również finansowo)? Mam bardzo poważne wątpliwości, czy umowa stowarzyszeniowa jeszcze by istniała – ale i wątplię, czy przy eurosceptycznej większości w instytucjach europejskich umowa stowarzyszeniowa z Ukrainą w ogóle zostałaby zawarta.

Zinnej działki: mnóstwo pracy i żmudnych negocjacji wymagało zniesienie dodatkowych opłat za osławiony roaming. Szczegrze wątpię, żeby eurosceptyczny parlament z takim uporem dążył do załatwienia tej sprawy. Temat w ogóle nie jest ideologiczny, ale czysto pragmatyczny – w dodatku osłabia znaczenie granic na kontynencie. Była już polska minister cyfryzacji Anna Streżyńska stwierdziła przecież, że korzysta z tego zaledwie garstka ludzi, i nie dość, że w zasadzie nie brała udziału w pracach nad nowym rozporządzeniem, to na zakończenie skrytykowała rozwiązanie, które dziś obowiązuje.

W polityce ukierunkowanej na Europę Ojczyzn (czyli de facto każdy kraj sobie) dbanie o zarobki firm rodzimych, w tym operatorów telekomunikacji, z natury rzeczy byłoby ważniejsze niż dbanie o konsumenta europejskiego i rozwój cyfryzacji w całej Unii.

A skoro już jesteśmy przy protekcyjnym: z przykrością muszę przyznać, że temat innej jakości produktów sprzedawanych pod tym samym szyldem dotyczy głównie państw, które później dołączyły do UE. Wyobraźmy sobie teraz Parlament Europejski, w którym każdy broni tylko swoich obywateli. Nie uzyskalibyśmy solidarnie większości, która wspierałaby nas w walce z koncernami oferującymi niby te same produkty, ale jednak gorsze – takie, w których np. zamiast masła jest olej palmowy, a żelki, zamiast kwaskowate, są słodkie i przyzwyczajają dzieci do cukru.

To rządy proponują kandydatów na członków Komisji Europejskiej. Europosłowie w odpowiednich komisjach wysłuchują ich prezentacji, po czym długo zadają pytania. Nie na wszystkich kandydatów się zgadzają. Wówczas rząd musi zaproponować innego kandydata. Z niepokojem myślę o tym, jak wyglądałoby prowadzenie tego typu procedur, jeśli większość europosłów byłaby wrogo nastawiona do Wspólnej Europy. Jaką Komisję Europejską wybrałoby takie gremium?

Prowadzimy już prace nad budżetem europejskim na lata 2021–27. Ideą budżetu europejskiego zawsze było wyrównywanie szans między krajami bogatszymi i biedniejszymi, między tymi, które mają lepiej rozwiniętą infrastrukturę, i tymi, które do rozwoju dróg, kolei oraz łączności telekomunikacyjnych potrzebują wsparcia. Stąd takie wielkie sumy otrzymywała Polska. Znane u nas jako „pieniądze z Europy”, a w instytucjach europejskich noszące nazwę: fundusze spójności, są najoczywistszym wyrazem solidarności europejskiej – jedni płacą do wspólnego budżetu znacznie więcej niż inni, po to żeby ci słabsi mogli nadgonić.

Nie ludźmy się jednak, że jeśli Le Pen uda się wprowadzić wielu posłów do PE i sukces odniesie np. AfD, Alternatywa dla Niemiec, to planowaniu budżetu dalej przyświecać będzie zasada wspólnoty i solidarności. Do tego dołożymy kilku komisarzy, którzy nie widzą sensu wzmocnienia Unii jako dobrze funkcjonującej całości, oraz kilku eurosceptycznych członków Rady – czyli przedstawicieli państw, w których wygrały partie przeciwne mocnej Unii, a także przeciwnie łożeniu na biedniejsze kraje z własnego budżetu – i możemy się pożegnać z wielkimi projektami rozwijającymi nasz kraj i nasz kontynent.

KOMENTARZ

Polska Pawłowa

Łukasz Wójcik



Wyjazdowy szczyt Grupy Wyszehradzkiej w Jerozolimie odwołany – taka informacja pojawiła się w poniedziałek, po tym jak premier Mateusz Morawiecki zapowiedział wycofanie polskiej delegacji ze spotkania w Izraelu. Odruchowo należy mu przyznać rację. W ubiegły piątek premier Izraela, będąc naszym gościem podczas konferencji bliskowschodniej, obraził polski naród, twierdząc, że współpracował on z nazistami w Holokaucie. Potem kancelaria Beniamina Netanjahu przekonywała, że chodziło tylko o pojedynczych Polaków, a nie cały naród. Ale było za późno, facebook i twittery ruszyły. W swoim wpisie prezydent Andrzej Duda zaproponował, aby przenieść szczyt Grupy do Wisły. Prawicowy internet się zapowietrzył. I premier 38-milionowego kraju nie miał wyboru: musiał się obrazić i odwołać wizytę w Jerozolimie.

Izraelski MSZ przekonuje, że Netanjahu w Warszawie wymknęło się nieprecyzyjne stwierdzenie. Politykowi tego kalibru nic się nie wymyka. Jego słowa o Polakach były przemyślnie nieprecyzyjne, żeby go nikt „za rękę” w Warszawie nie złapał, i jednocześnie izraelscy wyborcy przed wyborami (8 kwietnia) usłyszeli to, co mieli usłyszeć. Swoją drogą, zestawianie „Polaków” i „nazistów” tylko pokazuje, jak instrumentalnie Netanjahu traktuje historię, bo oto okazuje się, że „Niemcy” są dla Izraela zbyt ważni w europejskiej układance politycznej, aby wspominać ich w tym kontekście.

Netanjahu mógł sobie pozwolić na takie słowa, bo skonfliktowana z Niemcami i Brukselą Polska przestała być Izraelowi potrzebna. Nie jest chociażby w stanie wpływać na unijną politykę wobec Iranu. Dlatego też p.o. izraelskiego ministra spraw zagranicznych Israel Katz w telewizji I24 News powtórzył słowa przypisywane jego przełożonemu, że „Polacy współpracowali z nazistami”. A potem zacytował zgola rasistowską obserwację, wypowiedzianą kiedyś przez

innego premiera Izraela Icchaka Szamira, że Polacy wyssali antysemityzm z mlekiem matki. Katzowi też nic się nie wymknęło – liczy na to, że eskalacja konfliktu z Polską dobrze zagra przed wyborami do Knesetu.

Skąd takie założenie izraelskiego ministra? Bo polską politykę zagraniczną rządzi odruch. Było to aż nadto widoczne w lutym 2018 r., podczas kryzysu dyplomatycznego po nowelizacji ustawy o IPN, gdy Warszawa pod wpływem chwili oraz rządów Izraela i USA wprowadzała bądź wycofywała kolejne przepisy. Z polskiego odruchu od lat garściami korzysta Moskwa, która skutecznie robi z nas w Brukseli rosjanożerców, przez co nawet gdy mamy rację w sprawie Rosji, to nikt nas nie słucha. W praktyce jest to mechanizm odbierający nam suwerenność, bo wystarczy wiedzieć, gdzie nacisnąć, aby Polska zachowała się w oczekiwany sposób. Tak było zresztą w przypadku wspomnianej konferencji bliskowschodniej.

Polski rząd przedstawia to spotkanie jako sukces naszej dyplomacji. Ale pod jakim względem? Amerykanie próbowali zorganizować je w kilku miejscach. Tylko Polska nie postawiła żadnych warunków, choć wiadomo było, że szykuje się narada wojenna przeciwko Iranowi i jej gospodarz poniesie określone koszty, nie tylko cateringowe. Początkowo nasz MSZ był przekonany, że Amerykanie chcą skorzystać z dobrych relacji Warszawy z Teheranem i tą drogą zapoczątkować jakieś porozumienie. Gdy się okazało, że wręcz przeciwnie, w polskim MSZ miało ponoć dojść do cichego buntu ludzi zajmujących się Bliskim Wschodem, zduszonego jednak na poziomie dyrektora departamentu. I tak staliśmy się jedynym państwem na świecie, które ma teraz złe relacje jednocześnie z Izraelem i Iranem.

To zresztą nie pierwszy przypadek, w którym zawodowi dyplomaci odsuwani są od procesu decyzyjnego. W normalnych warunkach pamięć instytucjonalna MSZ i doświadczenie jego pracowników powinno działać tonująco na polityków, którym polityka – w szczególności zagraniczna – myli się z tweetowaniem. Dziś w Polsce już nikt ich nie słucha, bo jeśli mieli doświadczenie, to byli „komuchami” i już w MSZ nie pracują albo są z partyjnego zaciągu i sama partia wie najlepiej, że nie kompetencje przesądziły o ich zatrudnieniu. W efekcie mamy dziś przy al. Szucha ministerstwo widmo, które pod Jackiem Czaputowiczem pisze te swoje raporty, których nikt nie czyta, i sprawnie organizuje konferencje, które przynoszą Polsce tylko straty. A polska polityka zagraniczna staje się odruchem bezwarunkowym.

Tama na Wiśle

Największy i rzekomo najważniejszy kontrakt zbrojeniowy rodzi coraz większe kłopoty. Spóźniają się umowy niezbędne do terminowej realizacji zamówienia, a MON boi się kosztów.

Powtarzane przez szefa MON sformułowanie „kupiliśmy Patrioty” nie oddaje całkiem sytuacji. 28 marca 2018 r.

Mariusz Błaszczak podpisał umowę ramową z rządem USA. Aby pierwsza faza programu Wisła mogła ruszyć, koniecznych było jeszcze dziewięć umów, z których podpisano zaledwie trzy. Polski rząd miał zamówić ciężarówkę i podwozia z Jelcza oraz kabiny systemu dowodzenia, bo tak miało być szybciej i taniej.

W zeszłym roku się nie udało, ale więcej stresu mają Amerykanie. Dostawcy z USA muszą zawrzeć umowy wykonawcze z firmami PGZ, konkretyzujące zobowiązania offsetowe. Czyli zamówić w PGZ sprzęt,

który dostarczą rządowi USA, który z kolei dostarczy go rządowi polskiemu. Ta piętro-wa układanka musi doprowadzić do dostaw w 2022 r. Ale ponieważ od podpisania umów do uruchomienia produkcji mija kilka-kilka-nacie miesięcy, a potem wyprodukowany sprzęt musi zostać zintegrowany, sprawdzony i uzyskać amerykańskie certyfikaty (głównym dostawcą systemu Wisła dla Polski jest Raytheon, wykonujący zlecenie rządu USA według amerykańskich standardów), trzy lata niepokojąco się kurczą.

Tymczasem znacznie dłużej, niż oczekiwano, trwa dogadywanie się amerykańskich firm zbrojeniowych – Raytheona, Lockheed Martina i Northrop Grummana – ze spółkami PGZ zaangażowanymi w offset po polskiej stronie. Zapisy porozumień offsetowych trzeba przełożyć na plany produkcyjne, terminy wykonania, jakość procesów. Brakuje jednak zdolności produkcyjnych, miejsca i rąk do pracy. Taki kontrakt „to nie jest poziom polskiej manufaktury, to poziom

najwyższy na świecie, a zderzenia tych dwóch poziomów ani PGZ, ani polski rząd nie przewidywały” – mówi osoba uczestnicząca w uzgodnieniach.

O powadze sytuacji świadczy zeszłotygodniowa misja ratunkowa w Warszawie wiceprezesa Raytheona Wesa Kremera. Wizyta miała uratować harmonogram, który przewiduje podpisanie szczegółowych umów w lutym i marcu. Do chwili pisania tego tekstu żadnych jednak nie zawarto.

Co gorsza, w resorcie obrony trwa nowa analiza kosztów systemu Wisła, która może sprawić, że druga faza zamówienia będzie odsunięta lub wcale jej nie będzie. Już teraz system obrony powietrznej, którego nie ma nikt na świecie, bardzo obciąża budżet modernizacyjny. Nowe obliczenia miały wykazać, że koszt drugiej fazy zje go całkiem. Stąd w MON nie myśli się już o drugiej umowie przed końcem kadencji. Niech się martwi następny rząd.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI



© REUTERS/FORUM

200 lat więzienia

W Madrycie ruszył proces dwanaściora przywódców i działaczy niepodległościowych z Katalonii.

Nie tego oczekiwali katalońscy deputowani do parlamentu. Liczyli, że w zamian za poparcie, którego udzielili socjalistycznemu premierowi Pedro Sanchezowi, proces będzie odroczony, a oskarżeni zwolnieni z aresztu. Tak się nie stało, więc nie poparli projektu budżetu. W tej sytuacji Sanchez wolał ogłosić przyspieszone wybory, niż być skazanym na łaskę mniejszości katalońskiej, choć wcześniej szukał zdrowego kompromisu we wciąż nierozwiązanej sprawie Katalonii. Zdominuje ona wybory parlamentarne w kwietniu oraz europejskie i samorządowe w maju. Na sprzeciwie wobec jakimkolwiek dialogowi z niepodległościowcami tuczy się dziś politycznie nowa hiszpańska skrajna prawica (Vox). Socjaliści, choć prowadzą w sondażach, lękają się wyborczego sojuszu centroprawicy z neofaszystami. I tak pokojowy nacjonalizm kataloński może scementować nacjonalizm hiszpański, blokując jakikolwiek kompromis.

Prokuratorzy oskarżają katalońskich niepodległościowców o podżeganie do buntu przeciwko ładowi konstytucyjnemu. Jednak ich zwolennicy uważają, że to nie są buntownicy, tylko więźniowie polityczni. Podczas procesu zetrą się więc dwie narracje o tym, czym jest demokracja i praworządność, prawa obywatelskie i narodowe. Wielu oskarżonym grożą kary do 25 lat więzienia. Łącznie ponad 200 lat. Na ławie oskarżonych nie ma przebywającego na uchodźstwie politycznym byłego szefa autonomii katalońskiej Carlesa Puigdemonta. Sędziowie w kilku krajach UE nie zgodzili się na jego ekstradycję.

Stan bardzo wyjątkowy

Trump obszedł Kongres. Aby uniknąć kolejnego shutdownu (paraliżu pracy administracji rządowej), podpisał w końcu ustawę budżetową, która przyznaje mu tylko ułamek funduszy potrzebnych do budowy ogrodzenia na granicy z Meksykiem. Ale ogłosił zarazem stan wyjątkowy, co pozwoli wydać na ten cel, bez zgody Kongresu, znacznie większą kwotę (8 mld dol.). Opozycja protestuje, że nic nie uzasadnia tak drastycznego kroku – nielegalna imigracja spadła, nie ma związku z przemytem narkotyków, a przestępczość wśród nielegalnych nie jest większa niż w całej populacji. Demokraci zapowiedzieli zaskarżenie jego decyzji do sądu, argumentując, że łamie konstytucję – budżet leży w gestii Kongresu, a nie Białego Domu.

Zdawałoby się oczywiste, kto ma rację, a jednak Trump może tę batalię wygrać. Sądy niższej instancji orzekną zapewne na korzyść jego krytyków, ale Biały Dom odwoła się do Sądu Najwyższego zdominowanego przez konserwatystów. Sąd ten tradycyjnie zresztą unika blokowania deklaracji o stanie wyjątkowym, uznając, że bezpieczeństwo kraju to domena prezydenta. Sprzyja temu brak jasnej definicji *national emergency* w ustawie z 1976 r. Demokraci mieliby szanse, gdyby udało się im najpierw unieważnić deklarację Trumpa uchwałą Kongresu. Niektórzy republikanie gotowi są ją poprzeć, ale czy starczy to do zebrania dwóch trzecich głosów potrzebnych do uchylecia późniejszego prezydenckiego weta?

Monachium 2019

Monachium było kontrą dla Warszawy. U nas – pod nieobecność oponentów – wiceprezydent Mike Pence dyrygował dość zgodnym chórem. Natomiast na dorocznej konferencji bezpieczeństwa w stolicy Bawarii uczestniczył w chaosie głosów z całego świata nieskładających się w żadną całość. Choć do takiego spojrzenia namawiała Angela Merkel. Broniała przed tweetami Trumpa niemieckie samochody, argumentując, że większość sprzedawanych w Ameryce BMW jest produkowana w Karolinie Południowej. Broniała także rury bałtyckiej, mówiąc, że nie rozumie, jak rosyjski gaz miałby zagrażać Europie, skoro nawet w najgorszej fazie zimnej wojny ZSRR było spolegliwym dostawcą energii. Czy rzeczywiście w interesie Zachodu jest odpychanie Rosji od Europy w objęcia Chin? Argument efektowny, ale nieuwzględniający szczegółowej krytyki Nord Stream II już nie tylko ze strony Trumpa, państw Europy Środkowo-Wschodniej czy ostatnio nawet prezydenta Macrona, ale także części niemieckich mediów. I samej Brukseli, która wobec drugiej nitki zaostrzyła unijne wymagania. Co jednak samego projektu już nie zatrzyma.



© MCS

Ale nie rura bałtycka, lecz zapowiedź nowego globalnego wyścigu zbrojeń atomowych – po dwustronnym wypowiedzeniu traktatu o likwidacji rakiet średniego zasięgu – zdominowała spotkanie delegacji 120 państw. A właściwie zdominowała je kakofonia – jak stwierdza „Frankfurter Allgemeine”: w ciągu tych trzech dni Theresa May zaliczyła kolejną porażkę w Izbie Gmin, w Hiszpanii upadł rząd, w Waszyngtonie ogłoszono stan wyjątkowy. Prezydent Rumunii domaga się silniejszej obecności NATO nad Morzem Czarnym, zaś sekretarz generalny NATO – wycofania radzieckich rakiet SSC-8, prezydent Egiptu życzyłby sobie większego respektu Europejczyków dla Afryki, a minister Ławrow – większego umiłowania Rosji, Chińczyk chce wielostronności w strategii globalnej, Irańczyk pomstował na Amerykę i Izrael, a Mike Pence na Iran. I tylko – kończy gorzko Klaus-Dieter Frankenberg w „Frankfurter Allgemeine Zeitung” – Merkel, fizyczka z wykształcenia, cytowała Alexandra von Humboldta, że wszystko się ze sobą wiąże, dlatego „tylko my wszyscy razem!”. Za co otrzymała owacje na stojąco, ale otucha szybko prysła.

ADAM KRZEMIŃSKI

Rosja unplugged

Rosja chce eksperymentalnie odłączyć się od globalnego internetu.

Rosyjska Duma przyjęła projekt ustawy o bezpieczeństwie cyfrowym. Przewiduje on uniezależnienie rosyjskiego internetu od światowej sieci i takie przekierowanie ruchu sieciowego na rosyjskie serwery, aby uodpornić go na interwencje z zewnątrz. Zanim ustawa zostanie przyklepana, czyli do końca marca, ma zostać przeprowadzony eksperyment odłączenia Rosji – na jakiś czas – od globalnego internetu. Ten test miałby pokazać, jakie będą konsekwencje, co się posypie, co nie, na ile sieć państwowych serwerów DNS, testowanych od 4 lat, da sobie radę z przekierowaniem globalnego ruchu na wewnętrzny. Analitycy przewidują spory bałagan i kłopoty, ale bez tego eksperymentu nie da rady się przekonać, na ile mają rację.

Po co Rosja chce zamknąć swoją sieć? Tu zdania są podzielone. Aby uodpornić się na groźby Zachodu, że w ramach retorsji za hakowanie i mieszanie się w politykę wielu krajów odetnie się za karę Rosję od internetu. Druga interpretacja głosi, że chodzi o cenzurę, o zbudowanie muru na kształt chińskiego, pozwalającego państwu blokować niepożądane treści. Państwowy Roskomnadzor już coraz sprawniej cenzuruje sieć, ma podobno codziennie wysyłać do Google'a aktualną listę stron zakazanych z prośbą/żądaniem o ich zablokowanie. W wewnątrzrosyjskim internecie, czyli runecie, będzie to dużo prostsze. Trzecia interpretacja, że to próba generalna, gdyby na skutek zamieszek społecznych trzeba było wyłączyć sieć. Tak jak to zrobił Mubarak w 2011 r. w ogarniętym rewoltą Egipcie, przy okazji wyłączając sieci komórkowe. A najprawdopodobniej chodzi o wszystkie te trzy przyczyny naraz.

Buteflika po raz piątą

Oficjalna agencja APS ogłosiła, że **Abdelaziz Buteflika** będzie się ubiegał o piątą kadencję prezydencką. Kończy 81 lat i rządzi Algierią od 1999 r. Ale nie chodzi nawet o wiek: premier Malezji Mahathir Mohamad ma 93 lata, a po sąsiedzku prezydent Tunezji, Beji Caid Essebsi, 92 lata. Rzecz w tym, że po głębokim udarze w 2013 r. (i długim leczeniu we Francji) Buteflika porusza się na wózku i już ani razu nie wystąpił publicznie. Kampania wyborcza w 2014 r. miała dość surrealistyczny przebieg, bo na wiecach w imieniu prezydenta przemawiali ludzie z jego otoczenia, opowiadając, co kandydat chciał im przekazać. I to wystarczyło: dostał 81 proc. głosów. Od tamtej pory stan zdrowia prezydenta systematycznie się pogarsza, we wrześniu ub.r. przyjął jeszcze kanclerz Merkel, po wielu przekładaniach terminu wizyty, i od tej pory już nikogo. Ale widać rozmaite kręgi władzy, w tym głównie rodzinny klan Butefliki, wolą taki stan rzeczy, bo nie były w stanie wspólnie wyłonić sukcesora. A armia popiera o rozwiązanie.

W Algierii są złe nastroje: bardzo młode społeczeństwo zмага się z kryzysem bezrobocia, a dochody z ropy naftowej i gazu, głównego źródła dostatku narodowego, mocno spadły. Opozycja jest słaba i podzielona, a ludzie ciągle pamiętają koszmar wojny domowej z lat 90. i interwencji wojskowej, co powstrzymuje kraj przed arabską wiosną. Z kolei w Egipcie parlament (485 głosami na 596) przyjął projekt zmiany konstytucji, wydłużający kadencję prezydencką z 4 do 6 lat (potrzebne będzie jeszcze potwierdzające referendum). Zmiana jest szykowana pod prezydenta Abdula Sisiego, którego druga kadencja upływa w 2022 r. To dawny szef sił zbrojnych, który obalił w 2013 r. demokratycznie wybranego Mohammeda Morsiego. Ma dopiero 64 lata i na mocy tej poprawki mógłby rządzić do 2034 r. Arabscy przywódcy regionu mocno się starzeją, za to młodsze społeczeństwa, którymi rządzą. Na horyzoncie majaczy zmiana pokoleniowa, tylko jak miałaby się dokonać?



© EPA/PAP



© EAST NEWS

El Chapo z bliska

To niewątpliwie sukces amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości. Trzy miesiące procesu, a wcześniej wieloletnie śledztwo, doprowadziły do uznania za winnego Joaquína Guzmána Loerę, znanego jako **El Chapo** (czyli Mały czy, jak woli, Konus), szefa meksykańskiego kartelu narkotykowego Sinaloa. Jego organizacja przez ponad dwie dekady przerzucała do USA wielkie ilości narkotyków i uczestniczyła w wojnie o wpływy w Meksyku, w której zginęło ponad 200 tys. osób. Znakiem rozpoznawczym El Chapo były wymyślne metody przemytu i ulatniania się z więzień. Przemoc stosował z bezrefleksyjnością tradycyjną u narkotykowych hurtowników, a góry zarabianych pieniędzy wydawał z bazarowym gustem.

Przesłuchania świadków w sądzie w Nowym Jorku stały się spektaklem. Jedyną okazją, by na żywo popatrzeć na zbrodniarza, ale i geniusza logistyki po trzech klasach szkoły podstawowej. Na widowni zasiadli m.in. członkowie ekipy „Narcos”, serialu czerpiącego z prawdziwych wydarzeń, w tym aktor grający rolę El Chapo. Filmy, skala upadku, zdrada najbliższych (obciążali go współpólnicy, ochroniarz i kochanka), a także awanturnicze losy przyczyniły się do budowy mitu mafiosa, zwłaszcza w rodzinnych stronach uchodzącego za szlachetnego bandytę. Następny odcinek tej historii zacznie się 25 czerwca, gdy ogłoszona zostanie wysokość kary. W grę wchodzi jedynie dożywocie i przeprowadzka do najpilniej strzeżonego więzienia Ameryki. W dniu ogłoszenia El Chapo winnym na granicy Meksyku i Arizony przechwycono transport przeciwbólowego fentanylu, największy w historii USA. 100 mln dawek przewożono w ciężarówce z ogórkami, przez przejście kontrolowane przez kartel Sinaloa.

Nasz drogi prezes





Jarosław Kaczyński uważa się za bardzo przeciętnie majątnego. Rzecz w tym, że jako największe dobro swojej partii może sobie na tę biedę pozwolić.

ANNA DĄBROWSKA

Co najbardziej głupiego i absurdałnego udało się Panu usłyszeć na swój temat” – pytała Jarosława Kaczyńskiego w listopadzie 2010 r. dziennikarka katolickiego tygodnika „Niedziela”. On odpowiedział: „Pewna była pracownica KC, powołując się na bliską znajomość ze mną, mówiła, że na pewno wie, iż jestem właścicielem fabryki cukierków. Tego typu wieści roznosiły się szeroko po Polsce, w każdym z województw jakoby byłem właścicielem jakichś dóbr. (...) Najgorsze, że ludzie wierzyli w te bzdury”. Dodał też, że w 1991 r., kiedy z bratem organizowali pierwszą konferencję antykorupcyjną, usłyszał, że jest człowiekiem, który dorobił się wielkiego majątku na polityce. „A tymczasem mieszkalem sobie skromnie w pokoju przy rodzicach – bo nigdy się nie dorobiłem własnego mieszkania – gdzie było bardzo biednie, bo rodzice od dawna byli na emeryturze, a ja przez długi czas byłem bez dochodów”.

W innym wywiadzie z 1994 r. tak Jarosław Kaczyński tłumaczył brak sondażowej popularności: „Jestem w sytuacji finansowej, jak na człowieka w moim wieku (45 lat – red.), kompromitującej. Nie mam mieszkania, nie mam samochodu, w ogóle nic nie mam. A i moja partia (Porozumienie Centrum – red.) jest biedna. Natomiast przekonania społeczne są zupełnie inne”. Na taśmach ujawnionych przez „Gazetę Wyborczą” wyraził obawy, że ludzie pomyślą, iż jest „niezwykle zamożnym człowiekiem”. A tego prezes PiS, pielęgnujący wizerunek skromnego człowieka nieprzywiązanego wagi do dóbr materialnych, boi się najbardziej.

Jedna trzecia domu i okolica

Z ostatniego oświadczenia majątkowego Jarosława Kaczyńskiego: około 19 tys. zł oszczędności; jedna trzecia 150-metrowego domu na warszawskim Żoliborzu oraz roczne dochody 118 tys. zł uposażenia poselskiego, do tego 30 tys. zł diety parlamentarnej i 77 tys. zł emerytury (ok. 19 tys. zł średnio miesięcznie). Prezes ma też kredyt w SKOK – 127 tys. zł – „zaciągnięty na opiekę nad chorą mamą i koszty związane z Jej upamiętnieniem”. Krzysztof Skowroński w magazynie „Viva!” w 2012 r. pytał Jarosława Kaczyńskiego, jak chce rządzić państwem, skoro nie potrafi zaoszczędzić więcej niż 10 tys. zł. Szef PiS tłumaczył, że znaczną część pensji przeznaczą na cele charytatywne, tysiąc oddaje partii i jeszcze zapewnia rodzinie przyzwoity standard życiowy. (Nie wydaje się, aby teraz prezes miał jakiegokolwiek rodzinne zobowiązania finansowe, a bratanica Marta jest materialnie zabezpieczona).

W kwietniu 2018 r. Jarosław Kaczyński znów przekonywał, że nie dba o dobra materialne, bo gdyby zdecydował się na karierę radcy prawnego w Warszawie, „to przecież bym zarabiał parę razy więcej, niż zarabiam. Ja naprawdę na polityce nie zyskuję, tylko tracę, biorąc pod uwagę doktorat z prawa”.

Były współpracownik prezesa Kaczyńskiego mówi, że gdyby miał wskazać, co najbardziej irytuje Kaczyńskiego, to właśnie to, kiedy ludzie stwierdzają, że jego obraz nie jest spójny z tym, jak chce się im przedstawiać: – *Chodzi również o ten wizerunek ascety, który nie jest przywiązany do żadnych dóbr materialnych, bo jedyne, na czym mu zależy, to powodzenie ojczyzny.* ►

© ADAM CHELSTOWSKI/FORUM



Demonstracja przed domem Jarosława Kaczyńskiego na warszawskim Żoliborzu. W sąsiedztwie znajdują się budynki Instytutu im. Lecha Kaczyńskiego.

► *To prawda, że wszystkie interesy i pieniądze są prezesowi potrzebne dla zdobycia i utrzymania władzy. Dziś ma władzę i prywatnie już mało mu potrzeba, również dlatego, że sam, jako największe dobro partii, jest przez PiS porządnie sponsorowany. Partia i spółka Srebrna, która należy do Instytutu Lecha Kaczyńskiego, nie oszczędza na komforcie prezesa.*

Jak ujawnił w 2012 r. „Newsweek”, Instytut od co najmniej 2009 r. wynajmuje dom sąsiadujący z żoliborskim domem Jarosława Kaczyńskiego. To 125-metrowy budynek z lat 60. Mieści się w nim biuro rachunkowe Srebrnej oraz przez pewien czas siedziby spółki-córki Słowo Niezależne, właściciela portalu niezależna.pl, oraz firmy Rejtan (prezysuje jej rodzina Tomasz Sakiewicza), która prowadzi internetową księgarnię „Gazety Polskiej”. Wynajmowanie domu przez Srebrną, właściciela dwóch dużych biurów w centrum Warszawy, to żaden interes, a wręcz biznesowa ekstrawagancja. – *Przecież w tym wynajmie nie chodzi o interes Srebrnej, ale Jarosława Kaczyńskiego. Kiedy kilka lat temu wyprowadzili się stąd sąsiedzi Jarosława, obawiano się, że wprowadzi się tu ktoś, kto będzie zakłócał jego spokój. Stąd pomysł, aby wprowadzić tu Srebrną* – mówi były współpracownik Kaczyńskiego, znający kulisy tej transakcji. Dodaje, że Rejtan podnajmował od Srebrnej dom za ponad 5 tys. zł, a PiS w tym czasie przelewał na konto firmy z partyjnych pieniędzy regularnie, co miesiąc, ponad 6 tys. zł. To wygląda tak, jakby PiS przelewał Rejtanowi pieniądze, aby ten mógł opłacać czynsz za dom w sąsiedztwie Kaczyńskiego – zagadujemy osobę znającą sprawę. – *Dokładnie tak, ale jeszcze raz podkreślam, że to sprawa bezpieczeństwa i komfortu prezesa.*

W 2012 r. księgarnia „Gazety Polskiej” wyprowadziła się z ul. Mickiewicza, ale Srebrna została i zaczęła organizować tu izbę pamięci prezydenta Lecha Kaczyńskiego, do dziś dostępną tylko dla najbliższych ludzi ze środowiska braci. I to drugą już izbę pamięci, bo pierwszą zaczęto organizować wcześniej – w drugim, na lewo od posesji prezesa, domu, także wynajmowanym przez Srebrną. Kazimierz Kujda, ówczesny szef Srebrnej, tłumaczył w 2013 r. dziennikarzowi Michałowi Krzymowskiemu: „jak zaczęliśmy sprowadzać te pamiątki z Gdańska, to okazało się, że jest ich tyle, że potrzeba nie jednego domu, ale dwóch”. Tyle że – jak pisaliśmy w POLITYCE w grudniu 2016 r. – w izbie pamięci nie ma żadnych prawdziwych pamiątek po zmarłym tragicznie prezydencie Lechu Kaczyńskim, żadnych osobistych rzeczy czy notatek. Jest za to sarkofag – grobowiec pary prezydenckiej z uszkodzoną podczas ekshumacji płytą – przetransportowany z Wawelu na koszt Srebrnej (za 10 tys. zł). Spółka wpłaciła też 50 tys. zł na komitet budowy pomników ofiar smoleńskich.

Jarosław Kaczyński mówił w minionym tygodniu w wywiadzie dla PAP: „Nic, co robi nasza partia, nie jest finansowane przez Srebrną. Między spółką, partią a fundacją nie ma związków prawnych, instytucjonalnych. Jest związek personalny, polegający na tym, że jestem szefem partii i jednocześnie przewodniczącym rady fundacji. Tego żadna ustawa ani też żadne zasady moralne nie zabraniają”. – *Prawnie jest wszystko w porządku. Jednak biorąc pod uwagę, że Srebrna, która należy do Fundacji, wynajmuje domy sąsiadujące z domem prezesa partii, by dbać o jego spokój, pokazuje, że ten związek jest ścisły* – słyszymy z okolic PiS.

Ktoś dodaje, że prezes kieruje wszystkim w znanym sobie trybie, czyli „bez żadnego trybu”. Kilka lat temu, już po śmierci Jadwigi Kaczyńskiej, pojawił się pomysł, aby przeprowadzić partię do kamienicy przy ul. Belwederskiej. Razem z siedzibą miał się tam ze swoim mieszkaniem przenieść sam prezes. Operacja okazała się niewykonalna, bo 700 m nowej siedziby – o połowę mniej, niż PiS zajmuje teraz – było zbyt ciasne.

Ochrona celem statutowym

O komfort prezesa w domu i wszędzie, gdzie się pojawia, dbają też prywatni ochroniarze, niekiedy 20 naraz. To stała pozycja na liście płac PiS od listopada 2010 r. Z 18,5 mln zł subwencji z budżetu państwa dla PiS w 2017 r. (za poprzedni rok jeszcze nie ma rozliczenia) aż 1,62 mln zł pochłonęła właśnie ochrona prezesa (135 tys. zł miesięcznie). W kampanii samorządowej ochrona spotkań Jarosława Kaczyńskiego kosztowała 180 tys. zł. Szefa PiS chroni Wojciech Grabowski, wiceprezes firmy Grom Group. To zaufany człowiek, były żołnierz GROM z pierwszego zaciągu, który dostał nawet rolę w filmie „Smoleńsk” – zagrał w nim ochroniarza Lecha Kaczyńskiego. Jak przed laty tłumaczył POLITYCE były już skarbnik partii Stanisław Kostrzewski, ochrona prezesa traktowana jest jako „wspieranie celów statutowych”. PKW zapytała po ostatnim sprawdzaniu partyjnych finansów o te comiesięczne przelewy. PiS odpowiedział, że „przekazanie tych środków odpowiada wymagom ustawy o partiach politycznych”, a dokładnie temu paragrafowi: „majątek partii politycznej może być przeznaczony tylko na cele statutowe lub charytatywne”. PKW nigdy nie zakwestionowała tych wydatków.

Portal TVN24 ujawnił w ubiegłym roku, że Grom Group dostała rządowy kontrakt przy okazji obchodów rocznicy smoleńskiej. Można się zastanawiać, dlaczego szef MSWiA rządu PiS wydał decyzję o pozaustawowej ochronie minister edukacji Anny Zalewskiej czy Beaty Kempy, a nie dał ochrony prezesowi PiS, który podejmuje najważniejsze decyzje dotyczące państwa. W partii mówią, że to wynika z nieufności prezesa do innych służb, że ludzie z BOR, przemianowani na SOP, mogą mieć